

Jak dobrze mieć sąsiada...

I znowu za tytuł posłużył mi tekst piosenki. Niby rozrywka, ale jakże mądra (wiadomo, tekst Agnieszki Osieckiej). Prawdziwi sąsiedzi byli kiedyś – ja ich pamiętam od 1945 roku. Miałem takich przez dwadzieścia pięć lat, gdy mieszkałem w przedwojennej kamienicy, gdzie było ich około trzydziestu. Każdy miał jakąś zaletę i chętnie pomagał innym, jeśli tylko umiał coś dobrze zrobić. Pamiętam wielu z nich, nawet z nazwiska, choć minęło już prawie osiemdziesiąt lat.

Jedna z sąsiadek co roku w Wigilię udawała Mikołaja, do innej chodziłem bardzo często korzystać z encyklopedii sprzed 1939 roku, która ocalała u niej po wojnie – w tamtych latach źródeł wiedzy było bardzo mało. Jeszcze inna nauczyła mnie szyć na maszynie, a potem kroju. Bardzo mi się to przydało w późniejszym życiu. Mężczyźni pomagali w majsterkowaniu czy naprawach – umiejętnościach, których mój ojciec, „biuralista”, nie umiał zrobić. Sąsiadka hobbystka zaraziła mnie pasją do hodowania kwiatów, którą pielęgnuję do dziś – latem na balkonie, zimą na parapecie. Ciągłe mam w domu coś kwitnącego!

Ja także stałem się nieocenionym sąsiadem, gdy na studiach nauczyłem się robić zastrzyki. Miałem pełne ręce roboty, bo wszyscy woleli mieć usługę „tu i teraz”, niż chodzić do odległej przychodni i czekać w kolejce. Fama się rozniosła i korzystała z mojej pomocy prawie cała ulica. Korzyści były obopólne.

Dzieci w szkole przekazywały sobie podręczniki i pomagały w odrabianiu lekcji. W czasie wolnym bawiliśmy się zgodnie na dużym podwórku. Ale gdy poszedłem „na swoje”, przeprowadziłem się do bloku, kontakt z sąsiadami stał się sporadyczny. Wiedzieli, że jestem lekarzem, więc częściej mnie „zahaczali”, ale ja w zasadzie nikogo nie zaczepiałem. Teraz jestem już niepotrzebny – tak jakby mnie nie było.

Pewnego dnia jeden z sąsiadów „balkonowych”, gdy podsłuchał, że mówiłem komuś, że jego permanentnie suszące się pranie wydziela od używanych zmiękczaczy czy środków zapachowych szkodliwe opary chemiczne, odgrodził się ode mnie drewnianą ścianą, zabierając moim kwiatom część światła. Taki właśnie jest problem z sąsiadami w blokach. Dobrze, gdy chociaż nie palą papierosów „pod nosem”, bo i tacy się zdarzają.

To wszystko były i są niepisane zwyczaje. Gorzej, gdy coś organizują poważne instytucje zobowiązane do niesienia pomocy. Postanowiłem sprawdzić na sobie program pomocy sąsiedzkiej, zapowiadany z wielką pompą. A co z tego wyszło? Nawet niemała kropelka dla wróbelka! Opiszę wydarzenie od początku do końca, żeby przestrzec innych. Nie warto

mieszać się w coś, co „palcem na wodzie pisane”.

Podczas comiesięcznego spotkania seniorów w OIL we wrześniu ubiegłego roku dowiedzieliśmy się, że władze Łodzi, przy współpracy MOPS-u, uruchamiają program pomocy sąsiedzkiej. Spełniałem warunki, więc zgłosiłem się. I jak to zwykle bywa – zaczęło się od odsyłania mnie „od osła do posła”, zanim ktokolwiek zdecydował się na konkretne działania. Wystosowałem odpowiednie podanie do dyrektora MOPS-u, jak mi polecono.

Minęło trzydzieści pięć dni, aż w końcu odwiedził mnie pracownik socjalny, by zweryfikować moje dane i pobrać dodatkowe dokumenty. Następnie osoba, którą zgłosiłem jako pomagającą mi po sąsiedzku, była kilkakrotnie wzywana do MOPS-u (w godzinach swojej pracy), by dopełnić procedur. Straciła wynagrodzenie za nieobecność, poniosła koszty dojazdu i parkingu. Gdy już wydawało się, że wszystko zmierza do końca, wypłata została odwołana.

Przepychanka trwała dwa miesiące. W grudniu zaczęła się od nowa – ciągle brakowało jakichś dokumentów (rzekomo z winy urzędu). W końcu okazało się, że przyznana kwota pomocy sąsiedzkiej nie pokryła nawet poniesionych kosztów, a ja musiałem jeszcze wpłacić jedną trzecią tej kwoty na konto MOPS-u ze swojej emerytury.

"Czasy się zmieniają, rządy się zmieniają, władze lokalne też, ale spojrzenie na nas i traktowanie pozostają takie same"

A na koniec? Okazało się, że program dotyczył tylko roku 2024. W 2025 roku już nie obowiązuje. I co kuriozalne – na ponad 600 tysięcy mieszkańców, z których jedna trzecia to seniorzy, pomoc przyznano... 10 osobom! I śmieszne to, i straszne.

Piszę o tym, by pokazać kolejny niewypał, jakim obdarzają nas władze w swojej „trosce” o starszych ludzi. Podobno ma ruszyć nowy projekt – „Pomocna ręka”. Przestrzegam, bo pewnie będzie to taki sam bubel jak dotychczasowe. Czasy się zmieniają, rządy się zmieniają, władze lokalne też, ale spojrzenie na nas i traktowanie pozostają takie same.

Na szczęście wybrane przeze mnie osoby pomagają mi skutecznie od lat – bez programów i uwarunkowań, po prostu z życzliwości.

Reasumując – czy osoby publiczne organizujące pomoc dla seniorów zdają sobie sprawę, że powinna być ona prosta, bez wielu telefonów i formalności? Nie każdy starszy człowiek radzi sobie z pokonywaniem tych wszystkich biurokratycznych barier. Chyba że celem jest selekcja, by wielu się zniechęciło, a do końca dotarło tylko kilka osób.

Ci, którzy tak pracują, wstydu nie mają. Zajęcie „funta kłaków niewarte” – zwłaszcza dla

urzędników MOPS-u, w którego nazwie jest przecież słowo „pomoc”. Jaka to pomoc?
Głównie dla meneli i nieudaczników – bo ich się boją, żeby nie rozrabiali. A pomocną dłoń
znajdźmy sobie sami!

Łódź, 23 stycznia 2025 r.

Panaceum 3/2025